Rok IX. Dnia 23 Stycznia (4 Lutego) 1888 r. № 5.

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

ZABAWKA NA ZIMOWE WIECZORY.

Chłopcom, lubiącym strugać drewienka, podajemy bardzo zajmujące zajęcie na wieczory zimowe. Bierze się cieniutka deseczka sosnowa i wyrzyna się na niéj scyzorykiem coś nakształt płaskorzeźby, przedstawiającéj górę, buchającą płomieniami. Rysunek nasz może służyć za wzór do takiéj roboty, niezmiernie łatwéj do wykonania, nawet bez żadnego artystycznego uzdolnienia. Trzymając deseczkę tak wystruganą przed światłem lampy lub świecy, ujrzycie rysunek w jaskrawo-czerwonem zabarwieniu, wspaniałe płomienie, buchające z krateru, będą miały odcień purpurowy. Miejsca te należy tak wystrugać, aby deseczka tam była najcieńsza.

Światło tak słoneczne, jak i sztuczne, zawiera w sobie promienie różnobarwne, tęczowe, nie wszystkie jednakowo są przez każde ciało przepuszczane. Cieniutkie blaszki sosnowego drzewa przepuszczają szczególnie promienie czerwone. Ta ich własność może posłużyć do przyjemnéj zabawy, każdy bowiem pomysłowy młodzieniec potrafi, oprócz podanego na naszym rysunku wulkanu, wystrugać rozmaite płonące budynki, krajobrazy z jaskrawo wschodzącem lub zachodzącem słońcem i t. p. przedmioty. Zawsze tylko o tem pamiętać trzeba, że najcieńsze miejsca na deseczce będą wyglądały najbardziéj czerwone.

CÓRKA KORYOLANA,

obraz historyczny

przez **Maryą Leonę.**

(Dokończenie).

AKT IV.

Obóz Wolsków.

(Z jednego boku w głębi widać namioty, żołnierzy chodzących, leżących lub gotujących sobie strawę, z drugiego straż).

Jeden ze straży *(do drugiego).*

Widziałeś wczoraj posłów?

DRUGI.
Wczoraj?
TRZECI.
Ja widziałem.
Siwobrode kapłany w szatach uroczystych
Szli do niego od Romy. — On ich nie dopuścił
Do swojego namiotu. Tu — odprawił straże,
I tu z niemi rozmawiał.
DRUGI.
Kiedyż to być mogło?
O godzinie czternastéj przed słońca zachodem,
Tyś wtedy spał gdzieś w krzakach, leniuchu.
PIERWSZY.
Nie spałem,
Posłano mnie po wodę.
TRZECI.
Jednakże ten Marcyusz
Bardzo wielkim być musi, kiedy aż kapłanów
Wysyłają do niego, wygnańca z swych murów.
DRUGI.
Tegoż ci trzeba było?... Alboż nie masz oczu?
Alboż sam nie patrzałeś jak zdobył Kirkeum,
Jak Boloe opanował?
CZWARTY.
A pierwsza wyprawa,
Gdy nie mogąc doczekać naszéj rady końca,
Sam się z garstką przyjaciół w kraj wyprawił rzymski,
I tyle nam zdobyczy przyniósł.
DRUGI.
Rozdał wojsku,
Sobie nic nie zachował...

Scena I.

ZMIANA STRAŻY.
(Jeden z nowoprzybyłych dosłyszawszy tych słów).
Mnie bo się nie widzi,
By mogło być chwalebnie z swoimi wojować,
Jabym mu nie dowierzał...
DRUGI.
Dałbyś pokój temu!...
Możeby lepiéj było, by nas znowu łupił?
Sprzykrzyło ci się życie... Albo ci niemiło,
Że spokojnie w tym roku sprzątasz zboże swoje?
PIERWSZY *(uparcie).*
Kiedy ja mu nie wierzę...
TRZECI.
Chciałbym widzieć ciebie,
Gdyby z Antium wygnano cię niesprawiedliwie.
DRUGI *(śmiejąc się).*
Z Antium?... Toż on *vilanus!*
CZWARTY.
No!... to się nie dziwię,
Jego podejrzliwości. Ci wieśniacy grubi
Gotowiby posądzić i własnego ojca.
PIERWSZY.
A wy z miasta na byle jakie słówko wdzięczne
Lgniecie, jak muchy na lep.
TRZECI *(urażony).*
On do słów nie skory.
PIERWSZY.
Ale wam obiecuje skarby niezmierzone,
Gdy zdobędziemy Romę.
CZWARTY.
Kto pomyśli może,
Że ten dobytkiem gardzi...
PIERWSZY.
Nie gardzę... lecz...
CZWARTY.
Chciwość
Właśnie między innemi odznacza wieśniaka,
Chciwość i grubijaństwo, i cnót innych wiele —
Takich cnót...
PIERWSZY *(uderza go).*
DRUGI *(rozdzielając ich).*
Dajcie pokój, tu się bić nie wolno,
Nuż kto z wodzów zobaczy?
(śmiejąc się) Lub gdyby Rzymianie
Napadli nas z za murów?
TRZECI.
Gdy Marcyusz jest z nami?
PIERWSZY *(tajemniczo).*
A wiecie wy też czego przed dniami trzydziestu
Zażądał od senatu Romy?
WSZYSCY.
Czego? Czego?
PIERWSZY.
Gdy przyjmował poselstwo, ukryłem się w krzaku...
(skupia ich wkoło siebie, ciszéj).
Chciał by obywatelstwo nam nadano rzymskie,
Jak niedawno Latynom.
DRUGI.
I cóż, odmówili?
PIERWSZY.
Tak; odmówili głupi. — Ale czyż słuszności
Nie mam, że niedowierzam? Toż poddaństwo Romy
Chciał nadać!
TRZECI.
Co w poddaństwo?
CZWARTY.
O, zakuta głowa!
Obywatelstwo Romy, to są przywileje.
PIERWSZY.
Jednak dziś Latynowie zależą od Romy...
Swój do swojego ciągnie... Marcyusz...
DRUGI *(przerywając).*
Milczeć radzę;
Wodzowie go na czele postawili wojska,
Słuchać go rozkazali i bić się z Rzymiany,
A nie językiem dzwonić lub wglądać w ich sprawy...
Co do mnie... to wam powiem, że skarbem milczenie,
I że się gadatliwy naraża bez celu...

Scena II.

(Ukazują sie Weturya, Wolumnia z małem dziewczątkiem na ręku, za niemi Marcya i dwóch młodszych chłopaczków).
WOLUMNIA.
Matko, ty o poselstwie opowiedz mu swojem...
Ja nie śmiem...
(po chwili) Czy nas wpuszczą??
WETURYA.
Wejdziemy przebojem;
Koryolan, skoro pozna swą żonę i dziatki,
Każe nas przeprowadzić...
WOLUMNIA.
I usłucha matki!
O, tego jestem pewną!... mądrze senat zrobił,
Gdy na posła Weturyą sobie przysposobił,
Ty jedna, świekro droga, możesz go ocalić.
PIERWSZY *(ze straży).*
Kto idzie?
CZWARTY.
Grono niewiast... możesz się pochwalić,
Żeś spłoszył wojsko kobiet...

WETURYA.

Matka Koryolana,
Żona jego i dziatki widziećby go chciały...

DRUGI ZE STRAŻY *(z uszanowaniem).*

Matka wodza... Odpowiedź zaraz będzie dana *(odchodzi).*

WOLUMNIA *(do Weturyi).*

Oby wymowy siłę bogi tobie dały.

Scena III.

(Czekają chwilę, Koryolan wchodzi).

KORYOLAN *(do Wolsków).*

Odstąpcie.
(Wolskowie odchodzą, on po chwili wita się, Weturya usuwa się od uścisku).
Matko!... dziatki!... Wolumnio kochana,
Cóż was tu sprowadza? Wszak do jutra rana,
(pokazuje ku Romie).
Mury téj nienawistnéj przestaną nas dzielić?
(po chwili, biorąc za rękę żonę).
Wolumnio? cóż tak smutna? Trzeba się weselić,
Wyszedłem ztąd wygnańcem, a powracam wielki!
(po chwili z pogardą).
A bardzo drży tam motłoch? Może was przysłano?...
Och, wypiłem kielich gorzki!... Do kropelki!...
Za to im czarę zemsty podam jutro rano!...

WETURYA *(z godnością).*

Tak, synu!... Mnie przysłano — ja posłem tu stoję,
By Rzymian ci przedstawić, wzięłam dziatki twoje —
Twoich Rzymian...

KORYOLAN.

O matko!... ja ich nienawidzę,
Ja gardzę!... ja motłochem tym ślepym się brzydzę!..
Wszak oni mię wygnali... za tę miłość moję,
Żem nie dał Romy zniżać...

WETURYA.

Za tę pychę twoję —
Wszak wszyscy dobra miasta chcą obywatele,
Ty chcesz królować zdaniem, stać jeden na czele,
A gdy się głos większości w inną stronę chyli,
To senat zaślepiony?... to miasto się myli?...

KORYOLAN *(gwałtownie).*

Matko!

WETURYA.

Tyś pragnął dobra ich, znam mego syna,
Lecz mniejszem złem omyłka — niż niezgody wina
I ten się obywatel zdrajcą miasta staje,
Kto zdań swych, choć najdroższych, prawu nie poddaje.

KORYOLAN.

Ależ, matko!

WETURYA.

Tyś dumnie lekceważył prawo —
Urągał senatowi.

KORYOLAN *(z uniesieniem).*

Zemstę!.. zemstę krwawą
Będą mieli! Rodzinę nasłać z wyrzutami,
O Romo!... niech bogowie ciebie strzegą sami!...

WETURYA *(z powagą).*

Nie bluźnij *(po chwili).* Tak, rodzinę przysłano do ciebie,
Która pod twoją ręką w gruzach się zagrzebie...
My nie opuścim miasta w konania godzinie...

KORYOLAN.

Zatrzymać was tu każę.

WETURYA.

A gdy zgon nas minie,
Biorąc łzy wstydu w udział i szaty żebracze,
Pójdziem bez ciebie, zdrajco — bezdomne tułacze.

KORYOLAN.

Ty mnie rzucisz, Wolumnio? Tak kochacie Romę?
(Marcya pada na kolana).
I ty, Marcyo?... Wy, dzieci?...

WETURYA.

Bogom to wiadome,
Że ty ją kochasz, synu — dziś pierś gniewem żyje,
A jutro, na jéj gruzach rozpacz cię zabije...
(Koryolan się odwraca).
Synu!.. Jutro się w pyle położą te mury...
Jutro na nasze Forum wstąpi bóg ponury...
Język rzymski — zastąpią grubą Wolsków gwarą,
A słońce za obłoki skryje twarz wybladłą,
By nie patrzeć na straszne, ohydne widziadło,
Że Rzymianin był katem, a Roma ofiarą.
. . . . . .
Furye!... piekielne Furye wystąpią z pod ziemi,
Gonią cię... biegną, lecą, świat się kłębi niemi,
Włos twój swym tchem unoszą... Czoło ci wyjada
Szalonym, zrącym ogniem straszne piętno — zdrada!
Ratujcie dziecko moje!... nieśmiertelne bogi!...
Synu!... nie!... ty nie lękasz się!... Lecz spojrz tu wkoło!...
Widzisz łzy swéj małżonki?... widzisz matki czoło
Zgięte ciężarem hańby... Domu twego progi
Przez wszystkich omijane.. skalane, wzgardzone!...
I dziatki twe samotne, nędzne, opuszczone!
(pada na kolana. Koryolan chce ją podnieść napróżno).
Koryolanie!... Patrz!... matka w prochu tutaj leży!...
U twych stóp, Koryolanie! błaga swego syna,
Niech od własnéj swéj hańby, póki czas odbieży,
Niech pierwszy w swoim rodzie czci nie zapomina!...
Koryolanie!... Rzymianka, co ciebie karmiła,
Rzymianka, co czcić Romę pacholę uczyła,
Co nad wszystko po Romie — kocha tylko ciebie,
Rzymianka ta w tym pyle życie swe zagrzebie,
Serce jéj pęknie starte nadmiarem katuszy —
Jeśli dawną miłością duch twój się nie wzruszy.

KORYOLAN.

Zwyciężyłaś... o matko... wstań... ja się usunę...
Odprowadzę ztąd Wolsków... Wracajcie do miasta...
Powiedzcie, że ich zbawia szlachetna niewiasta...
Idźcie!... Idźcie... Zbudziłaś tę zamarłą strunę...
Idźcie już!... siły trzeba i skupienia ducha,
Inaczéj dziki naród wodza nie posłucha...

WETURYA *(na stronie do Koryolana).*

Iść muszę... bądź spokojny — cokolwiek się stanie,
(z dumą).
Na mężów ci wychowam synów, Koryolanie.

WOLUMNIA.

Marcyuszu! *(rzuca mu się na szyję i szepce).*

KORYOLAN *(gładząc ją po głowie)*

Może jutro... zobaczym się może...
Powiedźcie! Moja Roma!... drogie miasto boże!...
Że ja ją błogosławię!...
(Daje znak ręką żołnierzom żeby odprowadzili niewiasty).
(do siebie) O matko jedyna,
Tyś Romę ocaliła!... lecz zgubiłaś syna!... *(stoi zadumany).*

Scena IV.

PO CHWILI WBIEGA MARCYA.

MARCYA.

Ciebie zabiją, ojcze!... wiem! lecz i mnie z tobą
Nie!... ty mnie nie odepchniesz... jam zmyliła straże,
Z jasnem czołem się matce i babce pokażę,
Jeśli ty mnie odpędzisz?

KORYOLAN.

Podwójną żałobą,
Chcesz zranić serce matki, o dziecię ty moje!
Zostań, by ją pocieszać po małżonka zgonie...

Nad tobą słońce szczęścia w samym świcie płonie...
Na śmierć? Te oczy rzewne, lśniących włosów zwoje,
To wszystko w kraju cieniów!...

MARCYA.

Ojcze mój kochany!
Odeślesz mnie z obozu?... Pod czyją opieką?..
(po chwili) Ojcze!... czyliż tak straszno Styksu fale cieką?
Czyliż tak dla nas smutny będzie kraj nieznany?
Pójdziemy razem, ojcze!... jam na to dojrzała!...
Pójdziemy tak szczęśliwi!... tam w przedwieczne progi..
Przyświeci ci cześć córki i twéj Romy chwała,
Mnie wesprze cnota ojca i méj Romy bogi.

(wychodzą).

ŻÓŁKIEW.

Aż do wybudowania Willanowa najulubieńszem miejscem pobytu Jana III było miasteczko Żółkiew w ziemi lwowskiéj, niegdyś bardzo warowne, ufundowane na posadzie starożytnéj wsi Winniki, Żółkiew weszła wraz z Oleskiem w dom Sobieskich przez matkę Jana III, Teofilę Daniłowiczównę wnukę Żółkiewskich. Po śmierci Jana III dobra Żółkiewskie przypadły królewiczowi Konstantemu, a po nim najstarszemu z dzieci króla, Jakóbowi, który też zmarł w Żółkwi i pochowany w niéj został, ostatni rodu potomek, obok brata Konstantego. Żółkiew przeszła wtedy w posiadanie Michała Radziwiłła, potomka Katarzyny Sobieskiéj, siostry króla Jana. Potem, przechodząc z rąk do rąk, zamek Żółkiewski zniszczał i rozsypał się w gruzy po części. W miasteczku jednak pozostały nietknięte kościoły, zwłaszcza parafialny w rynku, fundacyi hetmana Żółkiewskiego, którego to kościoła widok przedstawia nasza rycina. Są tam między innemi pamiątkami pyszne wielkie obrazy, przedstawiające bitwę Żółkiewskiego pod Kłuszynem i kilka bitew Sobieskiego.

Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.

— Cóż to tak dawno nie widziałem kochanych moich sąsiadów — rzekł pewnego wieczora sędziwy profsor, otwierając drzwi gościom — aż się stęskniłem za wami.

— O, jaki dobry pan Adam, jaki dobry! — wołała Helenka, zdejmując ciepłe okrycie — widzisz, Wacławie. nie mówiłam? A ty zawsze powtarzasz, że ja się naprzykrzam panu Adamowi...

— Co znowu! — obruszył się staruszek — zkądże to do głowy przyszło Wacławowi?

— Ej, to ja tak tylko chciałem ją trochę podraźnić — rzekł Wacław z uśmiechem.

— Chyba, chyba; niechże Helenka nie wierzy temu figlarzowi.

— Byłam pewna, że nas pan Adam już wygląda — mówiła dziewczynka z uśmiechem — a co ja, to już dłużéj czekać nie mogłam, bo mam pana Adama o coś ważnego zapytać. Wczoraj u nas przy herbacie pan jeden mówił rzecz tak dziwną, tak dziwną, że ja uwierzyć nie chciałam, postanowiłam wprzód zapytać pana Adama, czy to może być prawda?

— Ta Helenka taka zabawna — odezwał się Wacław — już teraz i mnie wierzyć nie chce, taka dumna z téj swojéj przyjaźni z panem Adamem, ze wszystkiem do pana się odwołuje.

— Sam przecież pan Adam radził mi przed chwilą, ażebym tobie nie wierzyła.

— Ależ, Helenko — mówił staruszek zakłopotany — to tyczyło się tylko obawy naprzykrzenia się mnie. w innych rzeczach przecież Wacław na wiarę zasługuje. Lecz ciekawy jestem, co to za dziwną taką wiadomość powiedział ów pan przy herbacie?

— Niech pan sobie wyobrazi, powiedział, że teraz cukier zaczynają wyrabiać z węgla, że jest fabryka podobna gdzieś zagranicą. Potem, gdym ja wykrzyknęła ze zdziwienia, on się roześmiał i dodał, że oprócz tego wyrabiają srebro z gliny, więc byle na świecie nie zabrakło węgla i gliny, o co przecież lękać się nie należy, będziemy mieli tanim kosztem cukier, łyżeczki do herbaty, no i mnóstwo innych

Żółkiew.

przedmiotów, które dotychczas zupełnie odmiennemi sposobami się robiły.

— Cha cha cha! — zaśmiał się pan Adam — taka ogólnikowa wzmianka o nowych wynalazkach potrzebuje w rzeczy saméj dokładniejszego wyjaśnienia. Przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że cukier z węgla nie jest właściwym cukrem, a już co owo srebro z gliny, to wcale nie może się srebrem nazywać.

— A widzisz, Wacławie, a widzisz! — rzekła Helenka, która choć kochała brata, lubiła jednak się z nim przekomarzać — czy źle mówiłam, że nie wierzę, póki się nie zapytam pana Adama?

— Dziwna rzecz — odezwał się Wacław, wzruszając ramionami — ten pan był taki pewny siebie, że ja sam...

— Poczekajcie, poczekajcie — przerwał p. Adam — nie myślę potępiać tego pana, on was wcale nie oszukał, tylko, dla wywołania zapewne większego wrażenia, cokolwiek nie-

jasno te wiadomości określił. Najpierw co się tyczy cukru: rzeczywiście chemicy, rozkładając węgiel kamienny na części jego składowe, znaleźli tam rzeczy niepodobne ani troszkę do węgla, np. białą, przezroczystą benzynę, glicerynę, różne przepyszne farby, a teraz niedawno wydobyli oprócz tego z tychże samych brył węgla proszek biały, mający smak cukrowy, nawet słodszy daleko od zwyczajnego cukru burakowego, przezwali go sacharyną.

— I to naprawdę ta sacharyna siedziała sobie spokojnie w węglu kamiennym, i nikt dotychczas nic o niéj nie wiedział? — zawołała Helenka. — O tych pięknych farbach, o benzynie i glicerynie słyszałam już kiedyś. Dziwne to jest wszystko, ale cukier z węgla najdziwniejszy. Proszę pana Adama, dlaczegoż on się nie ma cukrem nazywać, tylko sacharyną, jeżeli jest biały, słodki i można go sypać do herbaty? Wszak ten zwyczajny zawsze tak nazywamy, czy z trzciny cukrowéj, czy z buraków się robi.

— Bo ten ma zawsze zupełnie ten sam skład wewnętrzny — odpowiedział p. Adam — gdy raz jest wydobyty z tkanek roślinnych, z trzciny, buraków, dyni czy kartofli, bo z różnych roślin można otrzymać cukier. Sacharyna zaś ma wprawdzie słodyczy więcéj, bo daleko mniéj tego proszku wystarcza do osłodzenia płynu, lecz skład jéj chemiczny różni się od cukru zwyczajnego. Dlatego też nawet w takich chorobach, w których cukier szkodzi bardzo, sacharyna złych skutków nie wywiera i może być dozwalana.

— A toż prawdziwe dobrodziejstwo dla tych nieszczęśliwych chorych, którym lekarze cukru zabraniają — mówiła Helenka — ale teraz, kiedy już o tym cukrze czy sacharynie wiemy całą prawdę, niechże p. Adam powie, jakim sposobem z gliny mają robić srebrne łyżeczki.

— Ja się domyślam — rzekł Wacław, spoglądając w oczy staremu przyjacielowi—że ten pan musiał mieć na myśli aluminium; nieprawdaż?

— Rozumie się — odrzekł p. Adam z uśmiechem — coraz więcéj zaczynają teraz mówić o tym pięknym metalu, który może zastąpić, nietylko srebro, lecz i żelazo, gdyby udało się komu w końcu wydobywać go niewielkim kosztem z gliny.

— Aluminium! ja coś o tem słyszałam — zawołała Helenka.

— Najpierw, moja Helenko — mówił stary profesor — powiedz mi, czy rozumiesz dobrze, co to są pierwiastki chemiczne, a co ciała złożone.

— Wiem, wiem, czytałam o tem już nieraz. Pierwiastek to np. bryłka metalu, złota, srebra, żelaza; choćbyśmy je ogrzewali, topili, zawsze one pozostaną niezmienione, zastygną i zrobią się z nich też same bryłki metalu, bo nie zawierają w sobie żadnych obcych części.

— Doskonale. Za to węgiel jest ciałem złożonem, jak widzieliśmy, chemicy najrozmaitsze z niego wydobywają płyny, proszki, nawet do węgla wcale nie podobne. Otóż ciałem złożonem jest także glina, można z niéj chemicznym sposobem wydobyć bardzo piękny metal, do srebra podobny, lepiéj znany pod łacińską swą nazwą *aluminium*, chociaż po polsku glinem zwać się powinien. Metal ten byłby daleko stosowniejszy na różne delikatne narzędzia od stali, bo nie rdzewieje tak łatwo, jest nadzwyczaj lekki i różne inne posiada przymioty. To też przewidują, że kiedyś w przyszłości, gdy glin wejdzie w użycie powszechne, ludzie nie zechcą patrzeć na żelazo, wszystko będzie glinowe.

— A czemuż teraz nie używają tego glinu, jeżeli jest taki doskonały? — spytał Wacław.

— Bo trudno bardzo wydobyć czysty metal z lepkiéj, ziemistéj gliny; konieczne są przytem różne manipulacye tak kłopotliwe i kosztowne, że chociaż glina do najtańszych przedmiotów należy, glin metal daleko drożéj musi być sprzedawany od żelaza. Chemicy jednak nieustannie szukają sposobów ułatwienia i uproszczenia téj roboty. Oto i teraz w Ameryce za pomocą elektrycznych prądów otrzymują już glin czysty w większéj ilości i znacznie taniéj.

— Jak też to dziwnie — rzekła Helenka — żeby taki piękny, twardy, błyszczący metal mógł się ukrywać w jakiejś ziemi.

— Nie takie to dziwne jak się wydaje, odparł p. Adam — wszakże i żelazo prawie nigdy nie znajduje się w stanie czystym, tylko w rudach miękkich, ziemistych, z których je wydobywać potrzeba przez ogrzewanie i różne manipulacye.

— To prawda, że też ja o tem zapomniałam...

— Był czas, gdy ludzie nie znali żelaza, robili broń i ostre narzędzia z krzemienia i kości, gdy zaś wynaleźli sposób oczyszczenia z rudy żelaza, było to wypadkiem nadzwyczaj ważnym, ogromny wpływ wywierającym na rozwój cywilizacyi. W naszych już czasach, przed trzydziestu laty, Anglik Bessemer wynalazł sposób tani wyrabiania stali, to jest żelaza ulepszonego i od téj pory tak zwana stal bessemerowska rozpowszechniła się w całym świecie. Dawne niezmiernie podania wspominają o wieku złotym. Były to zapewne czasy, gdy ludzie nie znali żadnych metali, oprócz złota, to bowiem najpierw poznać musieli, ponieważ zwykle zupełnie czyste znajduje się w ziemi. Potem miał nastąpić wiek śpiżowy, gdy z miedzi w połączeniu z innemi metalami wyrabiano śpiż. Żelazo późniéj jeszcze z rud wydobywać zaczęto, bo to trudniejsza robota. Gdy jednak metal ten okazał się w użyciu doskonałym, rozpowszechnił się niezmiernie i dziś trudno pojąć, jakby się mogli ludzie obejść bez żelaza. Żyjemy zatem w wieku żelaznym. Jeżeli jednak sprawdzą się przewidywania uczonych i glin zacznie być wydobywany bez wielkiego kosztu z najprostszéj gliny, nastąpi może kiedy wiek glinu, a żelazo w kąt pójdzie. *M. J. Z.*

SŁAWNI W PIŚMIENNICTWIE. *)

p. Z. Morawską.

Piotr Skarga Złotoustym zwany.

Zarzucają nam w ogóle lekkomyślność i brak wytrwałości, w wielu razach musimy się do tych wad przyznać, we względzie jednak religii naród nasz zawsze dawał dowody, iż bronić jej umie i z obranéj raz drogi nie zejdzie. Dowodem tego wiek XVI, który wydał tylu znakomitych ludzi starających się powstrzymać wnikające w owym czasie nowatorstwa religijne i ogół narodu utrzymać w głębokiéj wierze. Kaznodzieje mieli wtenczas najwięcéj do czynienia, nietylko bowiem nauczać, lecz i bronić potrzeba było, aby nowe ideje nie wnikały do umysłów obałamuconych, lub nie doświadczonych. Na czele jednak gorliwych sług kościoła i doskonałych kaznodziei stoi Piotr Skarga Pawęski, mężem apostolskim i mowcą złotoustym zwany.

Właściwe jego nazwisko było Pawęski, „Skarga" było tylko przydomkiem, odziedziczonym po dziadku, mającym jakieś zatargi z sąsiadami, na których kilka razy skarżył się przed Januszem ostatnim księciem mazowieckim. Zniecierpliwiony zażaleniami szlachcica książę, rzekł raz: „Wiecznie się tylko skarżysz, mości Pawęski, — raczejby cię Skargą nazwać trzeba."

Nasz znakomity kaznodzieja, urodzony w Grójcu na Mazowszu r. 1536, odziedziczył przydomek i nim się tylko podpisywał, jakgdyby dla przeciwstawienia całemu życiu, w którem się nigdy nie skarżył, stając zawsze jako rozjemca stron zwaśnionych, godząc je i w imię miłości chrześcijańskiéj do jedności nakłaniając.

Z lat pacholęcych zdradzał wielkie zdolności, zamiłowanie do nauk i wszystkiego co było piękne i szlachetne, co prowadziło do cnoty i poświęcenia. W siedmnastym roku oddany został do akademii krakowskiéj, gdzie wkrótce zwrócił na siebie uwagę najznakomitszych uczonych, jak Jana Leopolity, tłómacza biblii i wielu innych, których w dziełach swoich ze czcią wspomina. Wkrótce zajaśniał tak nauką i przykładnem życiem, że został powołany do Warszawy na kierownika założonéj tam co tylko szkoły. Młody nauczyciel coraz więcéj zwracał na siebie uwagę, i oto zaproszony został przez Jędrzeja Tęczyńskiego, kasztelana krakowskiego, na przewodnika jego syna, z którym jakiś czas przebywał w Wiedniu. Powróciwszy do kraju, spełnił gorące swoje marzenia; poświęcił się stanowi duchownemu i wkrótce został kanonikiem lwowskim. Lecz Skardze nie o dostojeństwo chodziło, ale o spełnienie gorące obowiązków, o rozszerzenie raz przyjętéj idei, o ugruntowanie i obronę religii. Tą gorliwością i pracą zwrócił na siebie uwagę zakonu Jezuitów sprowadzonych roku 1564 przez Stanisława Hozyusza bisk. warmińskiego. Za ich to poradą roku 1569 udał się do Rzymu, gdzie kształcił się w teologii; odbył praktykę zakonną a zbrojny zdobytą wiedzą przybył do kraju roku 1572. Odtąd widzimy go jako rzeczywistego pracownika w winnicy Pańskiéj.

Zrozumiał on stanowisko kapłana obywatela kraju; wzrokiem swym sokolim i jasnym umysłem umiał objąć i pogodzić sprawę kościoła i państwa.

Jako misyonarz w Inflantach i na Białéj Rusi umiał tak przekonywająco przemawiać, że bardzo wiele rodzin, które wyrzekły się katolicyzmu, powróciły teraz do niego, a między innymi synowie Mikołaja Radziwiłła Czarnego, znanego z onych czasów protektora kalwinizmu. Pracował on jako prawdziwy misyonarz, siejąc ziarno nauki założeniem kolegiów w Rydze, Dorpacie, Połocku i Jarosławiu na Rusi Czerwonéj. Stefan Batory, otwierając akademią w Wilnie roku 1579, szukał najzacniejszéj głowy i najgorętszego serca, któremu mógłby powierzyć sprawy téj uczelni, i rektorstwo jéj oddał Skardze. Roku 1588 powołany przez Zygmunta III na kaznodzieję, dawał dowody niezmordowanéj pracy i miłości kraju, którego był prawdziwym synem.

Chwiejna polityka Zygmunta III-go sprowadziła nie mało wojen i zawichrzeń na kraj znękany. Umysły były w najwyższem rozprzężeniu, trzeba było potężnego słowa Skargi, jego wyższości moralnéj, popartéj najzacniejszemi czynami, aby uspokoić i do uległości przywrócić tak rozgorzałą głowę, jak Mikołaja Zebrzydowskiego, kasztelana krakowskiego. A jednak dokonał tego Skarga, czego oręż dokonać nie mógł; uspokoił rokoszanina, a na sejmach grzmiącą, pełną zapału wymową uspakajał wiecznie burzące się głowy.

Wymowa jego była nagła, ognista, znać było, że to nie są słowa wyuczone, lecz płynące z całą prostotą z serca przepełnionego najszlachetniejszemi uczuciami i dlatego też tak łatwo do serc trafiały.

Ośmnaście razy przemawiał podczas sejmów, a przed każdem przemówieniem zwykł był się modlić: „Wyjmij panie ich serca kamienne, a daj miłości pełne." Z kazań sejmowych ośm tylko do nas doszło, a z tych jedno tak rozpoczyna:

„Zjechaliście się w imię Pańskie na opatrowanie niebezpieczności koronnych, abyście to, co do upadku się nachyliło, podparli; co się skaziło naprawili, co się zraniło zleczyli, co się rozwiązało spoili i jako głowy ludu, braci i członków naszych, jako stróżowie śpiących i wodzowie nieumiejętnych i świece ciemnych i ojcowie dzieci prostych o ich dobrem i spokojnem myśleli."

Jakże musiało radować się serce zacnego obywatela kapłana, gdy przemawiał do ludu po odniesionem zwycięztwie; rzadko mu się to zdarzało, jednak mimo smutnego stanu, w jakim się kraj nasz znajdował, cztery razy Skarga głosił zwycięztwo.

Oprócz kazań sejmowych, które są szczytem wymowy kaznodziejskiéj, pozostawił wiele innych prac, między innemi: „Wzywanie do jednéj wiary". „Żywoty Świętych" „Kazania na niedziele i święta", i „Kazania przygodne". Z pomiędzy pogrzebowych zasługuje na uwagę kazanie na pogrzebie Anny Jagiellonki, które Skarga tak kończy: „Osobliwszą ta królowa miłością swego narodu będąc, wielce im pożyteczna była i pokój a dobro rozmnażała, i z wielkich trudności wyrywała, iż zejścia jéj bez żałości i serdecznego bólu i wylania łez naszych wspomnieć nie możem. Nie tylko wszystkim pożyteczna i rzeczypospolitéj i poddanym swoim jako matka była, ale tę cnotę przełożonych dobrych z przodków swoich wzięła i oną rodzaj ich jako ostatni potomek zamknęła".

Skarga, służąc tak krajowi, będąc szafarzem wielu dobroczynnych ludzi, sam żył w ubóstwie, lecz za to wśpierał nędzę. Nikt od niego bez pociechy nie odszedł, każdy w potrzebie znalazł ratunek. W Krakowie w roku 1584 założył bractwo miłosierdzia, które dotąd pod nazwiskiem „Mons pietatis" istnieje.

Zaś w Poznaniu, Wilnie, Warszawie, Pułtusku, gdzie zaraz po powrocie z Rzymu jakiś czas jako kaznodzieja przebywał, są ślady jego dobroczynnych zakładów.

W największym był kłopocie, gdy go kto prosił, aby się za nim do króla wstawił i jakowy urząd lub starostwo wyrobił, lecz za to prostaczkom i ubogim zawsze dawał pomoc. Wszelkie zbytki i nadużycia karał surowo, zwłaszcza powstawał na bogate dwory trzymane przez wyższych dostojników kościoła. Śmiałem przemówieniem naraził się wielu, i raz synowiec takiego dostojnika, któremu bogactwa stryjowskie bardzo pochlebiały, zaczaił się i uderzył w twarz zacnego Skargę. Ten spojrzał tylko na niego i odrzekł słowami Chrystusa: „Jeżelim źle mówił, daj świadectwo o złem." Gdy zaś król chciał napastnika ukarać, Skarga sam mu przebaczenie wyprosił.

Oprócz prac umysłowych Skarga lubił zajmować się i pracą ręczną, a wtedy wyrabiał szkatułki misterne i rozmaite przedmioty z drzewa; książki oprawiał, lał świece, a nawet szył sobie bieliznę. Utrzymywał bowiem, iż umysł spocząć musi, lecz ręce zawsze powinny być zajęte. „Próżniactwo, mawiał, jest matką wszystkiego złego, kto się od

*) Patrz Nr. 316 z r. 1887.

niego uchroni, wiele złego od siebie odpędzi." Wierny téj dewizie skończył pracowity żywot, pisząc kazanie o cierpliwości.

Zmarł w Krakowie roku 1612 i tamże pochowany w kościele ś-go Piotra. Lecz pamięć jego nigdy pogrzebaną nie będzie, pozostawił on trwały pomnik z prac swoich, w których począwszy od pięknego i jędrnego języka, znać z jak zacnego serca płynęły.

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieńczona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

przełożył z angielskiego

HENRYK WERNIC.

(Dalszy ciąg).

Usłyszawszy te słowa, Tomasz nabrał odwagi. Miał pewien punkt oparcia. Benjamin pobłażliwiéj na tę sprawę spoglądał niż on; trzeba było zakończyć badanie. Usiłował przytłumić swe wzruszenie, starał się mówić zupełnie naturalnie, jakby od niechcenia, ale tchu mu zbrakło; mówił krótko, urywkowo, głosem ochrypłym. Spodziewał się, że Benjamin nie dostrzeże jego pomieszania, ciągnął więc daléj:

— Przypuść więc, że ja widziałem Jakóba Reunie, podpalającego skład węgli... dajmy na to, że on się o tem dowiedział, a obawiając się, żebym go nie wydał, rzekł do mnie: Tomaszu, podobno twój młodszy brat jest ociemniały... przypuśćmy... że powiedziałem: tak jest, brat mój Benjamin nie widzi. Wtedy on mi na to: powiedz mi, ile może kosztować przywrócenie wzroku twojemu bratu? a ja mu odrzekłem: może ze sto dolarów. Na to on: oto sto dolarów, Tomaszu, weź je, przywróć za nie wzrok Benjaminowi, ale nic nie mów, że widziałeś mnie podpalającego skład węgli. Cóżbyś uczynił, gdybyś był na mojem miejscu?

Powiedziawszy to Tomasz, który dotąd spoczywał na trawie, podniósł się i usiadł, wlepiwszy niespokojny swój wzrok w twarz ociemniałego brata. Czuł dobrze, że odpowiedź Benjamina może go usprawiedliwić lub potępić. Benjamin również się podniósł, a stanąwszy na ziemi, głęboko przez chwilę się namyślał, poczem zwróciwszy się ku Tomaszowi, rzekł głosem powolnym ale stanowczym:

— Tomaszu, gdybym wiedział, że wziąłeś te pieniądze i użyłeś ich na moje wyleczenie i gdybym odzyskał wzrok, to nie wiem... nie wiem, czyby wzrok sprawił mi przyjemność... czy ujrzenie ciebie sprawiłoby mi radość? Zdaje mi się, że bardzobym się ciebie wstydził.

ROZDZIAŁ IV.

Sprawa w sądzie.

Niespodziewane słowa ociemniałego brata tak przygnębiły Tomasza, iż odwrócił głowę i zakrył twarz rękami. Po raz pierwszy w życiu rad był, że Benjamin go nie widzi. Wypadało wszakże coś odpowiedzieć, rzekł więc, jąkając się za każdym wyrazem:

— To tylko moje przypuszczenie. Wiem przecie, że żaden poczciwy człowiek tegoby nie uczynił. Bylebyśmy mieli robotę, to obejdziemy się bez obcych stu dolarów, sami je zarobimy.

Zmrok zaczął zapadać, a wązki sierp księżyca, wznosząc się nad oddalonemi wierzchołkami gór, ponurym blaskiem przyświecał okolicy. Czas było powracać; obaj chłopcy, wziąwszy się za ręce, zwrócili swe kroki w kierunku domu, ale pod wpływem nieprzyjemnych myśli, wywołanych ostatnią rozmową, postępowali w milczeniu. Dziwny jakiś smutek ogarnął duszę Tomasza; cień jego padł na serce ślepego brata.

Biedny Tomasz nie wiedział, co począć. Po tem, co usłyszał, nie mógł użyć tych pieniędzy na przywrócenie wzroku swemu bratu, a nie chciał ich użyć dla siebie. Przychodziło mu na myśl, żeby zwrócić pieniądze odwokatowi Pleadwellowi, a tym sposobem uwolnić się od swego zobowiązania; lecz zastanowiwszy się na chwilę, przyszedł do przekonania, że prawdopodobnie adwokat pieniędzy nie przyjmie. Wiedział, że jako przekupiony pieniędzmi, znajduje się w mocy tych, którzy mu je dali, a jego wahanie i niedotrzymanie umowy sprowadzić może zemstę na jego głowę, i wielkie zmartwienie na tych, którzy mu są najdroższymi w życiu.

— Czemuż przyjąłem te pieniądze? — gorzko w duszy sobie wyrzucał. Od chwili rozmowy z bratem, Tomasz był bardzo ponury, ale matka przypisywała to brakowi pracy i zarobku. Wiedziała ona, że jedyną było jego myślą doczekać się chwili, kiedy będzie mógł wysłać Benjamina do zakładu, w którym leczą chorych na oczy, oraz jak bolał nad tem, że potrzebna na to suma tak powolnie wzrasta. Udawała wesołość, chcąc rozpędzić smutek z jego czoła i nieraz niewinnemi swemi żarcikami wywoływała uśmiech na jego usta. Przygotowywała mu te potrawy, jakie najbardziéj lubił, gdyż bardzo było jéj przykro, kiedy Tomasz, nic prawie nie tknąwszy, odchodził głodny od zastawionego stołu. Nadszedł wreszcie dzień, w którym w Wilkesbarre miała być sądzoną sprawa Jakóba Reunie. Tomasz, przybrawszy się w świąteczne szaty, oczekiwał z niecierpliwością na Jerzego, który również powołany był na świadka. Niebawem przybył Jerzy, a kiedy Tomasz wychodził z domu, matka czule pocałowała go w głowę i rzekła:

— Do widzenia, mój synu — a zaleciwszy, iżby pilnie zważał na wagon, do którego siąść wypada, dodała — na czynione sobie pytania odpowiadaj śmiało, zgodnie z prawdą, tak, iżbyś każdemu mógł spojrzeć w oczy. Postępuj tak, jak przystało na poczciwego człowieka, a powrócisz do domu wesół i zadowolony.

Wkrótce Tomasz i Jerzy stanęli w Wilkesbarre. Przed gmachem sądowym znajdowało się wiele ludzi, ale więcéj jeszcze w korytarzach sądowego budynku, w sali zaś była taka ciżba, iż Tomasz i jego towarzysz musieli zająć miejsce na jednéj z ostatnich ławek; lecz ponieważ ławki wznosiły się amfiteatralnie coraz wyżéj, mogli więc wszystko widzieć, co się naokoło nich działo. Tomasz po raz pierwszy w swem życiu znajdował się w sali sądowéj, wszystko tu było dla niego nowością: wielki stół, pokryty zielonem suknem, naokoło którego siedzieli w urzędowych strojach sędziowie, i osobny stolik na wywyższeniu dla prokuratora, kratki, oddzielające sędziów od publiczności, pulpity dla adwokatów i ławki, na których siedzieli oskarżeni ze swymi adwokatami, a wreszcie konstablowie, pilnujący porządku w sali.

Posiedzenie sądowe było już rozpoczęte; jacyś urzędnicy mówili coś, czego Tomasz nie mógł zrozumieć, poczem pisarz sądowy przeczytał coś cichym głosem i na tem zeszło do południa. Wtem przy drzwiach, znajdujących się po prawéj stronie sądziów, dał się słyszeć szmer i w téj chwili przez otwarte drzwi wszedł dozorca więzienia w towarzystwie kilku pachołków, prowadząc ze sobą Jakóba Reunie. Wyglądał on jak olbrzym w pośród swego otoczenia, ale widocznie zmizerniał i osłabł, bo znacznie przygarbiony zbliżył się pomału wśród tłumu do ławki, przeznaczonéj dla oskarżonych i na niéj zasiadł obok swego obrońcy. Tomasz, przyjrzawszy się wchodzącemu, poznał w nim człowieka, który pamiętnego dla niego wieczora tak wielką groził mu zemstą. Po chwili ucichł szmer, i dał się słyszeć donośny głos sędziego prezydującego:

— Sprawa Jakóba Reunie, oskarżonego o podpalenie.— Poczem ten sam urzędnik, zwróciwszy się do adwokatów, dodał — czy jesteście panowie przygotowani do obrony?

— Jesteśmy, prześwietny sądzie — odrzekł jeden z grona obrońców, zbliżając się do pulpitu.

— Niechaj się przybliży obwiniony — rzekł prezydujący.

Na te słowa polecono Jakóbowi powstać i zbliżyć się do kratki, a prokurator głośno odczytał akt oskarżenia. Akt opiewał, że oskarżony w d. 18 Września ze złośliwym zamiarem podłożył ogień pod budynek, zajęty na skład węgli, a będący własnością Towarzystwa eksploatującego węgle kamienne w kopalni Dryden, skutkiem czego uległ także pożarowi przyległy dom mieszkalny, należący do tego samego Towarzystwa.

Jakób pilnie słuchał oskarżenia. Kiedy go zaś zapytano, czy uznaje się za winnego, odrzekł przytłumionym, chrapliwym głosem:

— To nie moja rzecz, panowie powinniście mnie przekonać, że jestem winien.

Sędzia zgromił oskarżonego surowemi słowy i żądał, żeby w krótkich słowach albo przyznał się do winy, albo ją zaprzeczył.

— Więc mówię — rzekł Jakób — żem niewinien; nie można nikogo uważać za winnego, dopóki mu wina dowiedzioną nie zostanie.

Po tych słowach Jakób powrócił na swoje miejsce, a sąd wkrótce zawiesił posiedzenie.

Po południu rozpoczął się wybór przysięgłych. Pierwszym kandydatem był jakiś górnik, co można było poznać po niebieskich śladach prochu, jakie nosił na twarzy. Po kilku uczynionych mu pytaniach, został przyjęty, a pisarz sądowy odczytał następną formułę:

— Przysięgły, spojrzyj na więźnia, więźniu, spojrzyj na przysięgłego — poczem adwokat Pleadwell zażądał, iżby wybrany przysiągł według zwyczajnéj roty, że w sądzie powodować się będzie bezstronnością. Przysięgły na zapytanie adwokata odrzekł, iż mieszka na Saint Hill, w pobliżu spalonego składu węgla.

Drugim kandydatem był człowiek, który widocznie nałogowo żuł tytoń, o czem świadczyły wydęte jego policzki. Kiedy stanął przed kratkami, prokurator zapytał go:

— Czy należysz do zmowy?

— Nie, panie — odrzekł szybko zagadniony, nie dając czasu adwokatowi Pleadwell'owi do uczynienienia zarzutu pytającemu.

Adwokaci ze strony Towarzystwa, rozmówiwszy się ze sobą po cichu, zażądali usunięcia tego kandydata, podejrzywając go, pomimo jego zaprzeczenia, o należenie do zmowy.

Trzecim kandydatem był dzierżawca, zamieszkały o kilkadziesiąt mil od miejsca pożaru. Ten został przyjęty, jako człowiek zupełnie bezstronny.

W ten sposób odbywał się przez parę godzin wybór dwunastu członków sądu przysięgłych. Kiedy wybrano ostatniego przysięgłego, zaczęło się już zmierzchać. Zapalono gaz, a przy tem oświetleniu sala sądowa nową przybrała postać. Płomienie gazu oświetlały ten jéj koniec, w którym siedzieli sędziowie i adwokaci, reszta sali, przepełniona publicznością, pogrążona była w półcieniu. O szóstéj godzinie wieczorem zamknięto posiedzenie. Tomasz i Jerzy udali się do jednego z mniejszych podmiejskich hoteli, gdzie była przygotowana dla nich wieczerza i nocleg. Pomimo wielkiego niepokoju, jaki dręczył Tomasza, był on bardzo głodny, z wielkim apetytem spożył zastawioną obfitą wieczerzę i udał się na spoczynek. Nie mógł wszakże zasnąć, przewracał się z jednego boku na drugi, marząc o tem, co widział i słyszał, i rozważał, jakie prawdopodobnie nazajutrz stawiać mu będą pytania. Ustawicznie sobie powtarzał, że bądź co bądź w żadnym razie nie dopuści się kłamstwa i z tem postanowieniem zasnął. Sen miał bardzo niespokojny.

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Kalinki dla Detyny).

ni	ski	wie	dy	wszy	tok	też	by
ki	mło	by	po	cznie	mło	sam	szyb
gór	dła	gib	stek	na	ska	ni	nie
dzian	weł	bi	Cze	ny	ja	ki	a
jo	pręt	to	sno	gór	ny	po	ka
ną	strój	ladź	ja	pór	sa	wy	jak
jak	by	kró	dzian	lek	kły	u	dła
ma	o	ki	kie	tko	lud	ptak	smu

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Kaliny z Grażyny dla Stasi B. w Łęczycy).

Z następujących zgłosek: a—ar—bo—bu—bro—ber—cer—chód—czam—e—el—er—ez—for—gi—i—ju—kar—ki—lik—mi—na—na—nie—nak—no—no—naj—ni—niec—po—pian—ra—roz—ro—ruch—so—su—ta—ta—te—wie—za—za—zma — żec — ułożyć wyrazy: 1. Słynne międzymorze. 2. Zabawa. 3. Tytuł opery. 4. Instrument muzyczny. 5. Naród azyatycki. 6. Kwiaty. 7. Oddział tatarski. 8. Strona świata. 9. Rzeka we Włoszech. 10. Zaburzenie. 11. Zwierz dziki. 12. Imię biblijne. 13. Rzeka w Hiszpanii. 14. Nazwa mitologiczna. 15. Miasto w Afryce słynne w starożytności. 16. Śmiałek. Początkowe litery z góry do dołu, końcowe w kierunku odwrotnym, utworzą imiona i nazwiska dwóch sławnych wodzów.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady:

Ko — sa — rze.

Łamigłówki zegarka:

Kraki—Kolej—Korek—Kadur—Kenia—Kolos—Klosz—Kopce—Kosów—Kutas—Kubek—Kruki.

I. J. Kraszewski.

TREŚĆ: Zabawka na zimowe wieczory (z drzew.) — Córka Koryolana, obraz historyczny p. Maryą Leonę. — Żółkiew (z drzew.) — Pracownia p. Adama, pogadanka naukowa p. M. J. Z. — Sławni w piśmiennictwie p. Z. Morawską. — Brat ociemniały, powieść Homera Green'a przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Nieposłuszna Lusia (z drzew). Chłopczyk i wróbelek, wiersz p. Helenę Bojarską. — Złe towarzystwo p. Zetem. — Królewiątko p. Kazimierę. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Января 1888 г. Redaktorka i wydawczyni **Ludwika Hauke.**

W drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11